Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



Walka żubrów. Z drzeworytu G. Orłowskiego.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr. 17 (865) 10 CZERWCA 1937 R.



Kto poda tył?. Z serji, nagrodzonej I nagrodą na konkursie fotograficznym „Łowca Polskiego". Fot. W. Puchalski.

ŁOWIECTWO W SZTUCE POLSKIEJ.

Z inicjatywy Polskiego Związku Łowieckiego, podjętej przez Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych, w dniu 12 b. m. o godz. 12-ej otwarta zostanie pierwsza na tę miarę zakrojona w Odrodzonej Polsce wystawa dzieł sztuki, związanych z łowiectwem, pod nazwą: „Łowiectwo w sztuce polskiej".

Dla świata łowieckiego będzie to niemałą sensacją, gdyż oddawna nie zgromadzono na jednem miejscu tylu dzieł sztuki z zakresu łowiectwa, ile ich ujrzymy na tej właśnie wystawie.

Pozwoli to wszystkim zwiedzającym wystawę myśliwym odnowić wiele wspomnień z przeżyć własnych, opisów, lub opowiadań, jakie przewinęły się przez ich wyobraźnię, ściśle związanych z wielkiemi tradycjami łowiectwa polskiego i jego historją.

Należy przypuszczać, że wiadomość o otwarciu wystawy przeniknie do szerokich kół myśliwych polskich i zgromadzi pod dachem gmachu „Artibus" na pl. Małachowskiego w Warszawie liczną ich garść, niewątpliwie też wielu z nich uda się do stolicy umyślnie w tym celu ze swoich domowych pieleszy.

Wystawa ta nietylko sprawi radość oczom myśliwych i podniesie ich serca w umiłowaniu łowiectwa, idącego dziś ręka w rękę z ochroną przyrody, lecz także ściślej złączy rozluźnione ostatniemi czasy więzie pomiędzy sztuką i łowiectwem, tą niewyczerpaną skarbnicą niezwykłego piękna krajobrazowego, nastrojów i barw, poezji malarskiej we wszystkich odmianach: liryki, tragizmu i patetyzmu.

Po wystawie opowiemy sobie o oglądanym dorobku z tego zakątka sztuki, o jego wyrazie i cenie, zgóry jednak możemy już dziś przesądzać, że zrealizowanie podobnej wystawy — choć zebrana będzie na niej tylko część dzieł, poświęconych od dawnych lat dziedzinie łowiectwa przez wielu polskich artystów — nie może przejść bez śladu w poszukiwaniu dróg przez młodych, których natchnie niewątpliwie do bliższego zainteresowania się wielkością i pięknem naszego łowiectwa.

Wystawa potrwa do ostatnich dni sierpnia, a zatem zgórą dwa miesiące, co ułatwi jej zwiedzenie nawet najdalej zamieszkałym.

KOMITET HONOROWY WYSTAWY: „ŁOWIECTWO W SZTUCE POLSKIEJ

Prezes: SOSNKOWSKI KAZIMIERZ, *Gen. Broni, Prezes Polskiego Związku Łowieckiego.*

Członkowie: BIELSKI hr. JULJUSZ, *Wiceprezes Polskiego Związku Łowieckiego.*
CHŁAPOWSKI KONSTANTY, *Wiceprezes Polskiego Związku Łowieckiego.*
CZOŁOWSKI ALEKSANDER *Dr., Dyrektor Muzeów Miejskich we Lwowie.*
DOBROWOLSKI TADEUSZ *Dr., Dyrektor Muzeum Śląskiego w Katowicach.*
FABRYCY KAZIMIERZ, *Insp. Armi., Wiceprezes Polskiego Związku Łowieckiego.*
KOPERA FELIKS *Dr., Dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie.*
LAUTERBACH ALFRED *Dr., Dyrektor Państwowych Zbiorów Sztuki.*
LORENTZ STANISŁAW *Dr., Dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie.*
PACIORKOWSKI JERZY, *Wiceminister Spraw Wewnętrznych.*
PAJZDERSKI NIKODEM *Dr., Dyrektor Muzeum Wielkopolskiego w Poznaniu.*
PONIATOWSKI JULJUSZ, *Minister Rolnictwa i Reform Rolnych.*
POTOCKI hr. ALFRED, *Łańcut.*
RACZKIEWICZ WŁADYSŁAW, *Wojewoda Pomorski.*
RADZIWIŁŁ ks. KAROL, *Mankiewicze, Prezes Oddziału Poleskiego P. Z. Ł.*
SANGUSZKO ks. ROMAN, *Gumniska.*
SKULSKI LEOPOLD, *Wiceprezes Polskiego Związku Łowieckiego.*
STARZYŃSKI STEFAN, *Prezydent miasta st. Warszawy.*
ŚWIĘTORZECKI BOLESŁAW, *Wiceprezes Polskiego Związku Łowieckiego.*
ŚWIĘTOSŁAWSKI WOJCIECH, *Minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.*
ZYNDRAM KOŚCIAŁKOWSKI MARJAN, *Minister Opieki Społecznej.*

KOMITET ORGANIZACYJNY WYSTAWY.

BRZEZIŃSKI STANISŁAW Inż., *Prezes Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych.*
CIEŚLEWSKI TADEUSZ art. mal., *Wiceprezes Tow. Zachęty Sztuk Pięknych.*
GARCZYŃSKI WALENTY Sędzia, *Redaktor Łowca Polskiego.*
GIEYSZTOR JÓZEF Prof. Dr., *Przewodniczący Komitetu Wykonawczego P. Z. Ł.*
KRZYWOSZEWSKI STEFAN, *Prezes Polskiego Związku Wydawców Dzienników i Czasopism.*
NEHRING MACIEJ art. mal., *Gospodarz wystaw Tow. Zachęty Sztuk Pięknych.*
POTOCKI hr. MAURYCY, *Wiceprezes Polskiego Związku Łowieckiego.*
RADECKI-MIKULICZ STANISŁAW, *Dyrektor Tow. Zachęty Sztuk Pięknych.*

Zgłoszono obrazy:

do działu retrospektywnego: *Józefa Brandta, Jana Chełmońskiego, Józefa Chełmońskiego, Franciszka Ejsmonda, Juljana Fałata, Maksymiljana Gierymskiego, Antoniego Kamieńskiego, Juljusza Kossaka, Franciszka Kostrzewskiego, Antoniego Piotrowskiego, Jana Rosena, Stanisława Siestrzencewicza, Wandalina Strzałeckiego, Henryka Weyssenhoffa, Alfreda Wierusza-Kowalskiego, Stanisława Wolskiego i in.*

do działu współczesnego: *Aleksandra Augustynowicza, Anny Berent, Jana Betleya, Władysława Bieleckiego, Wacława Borowskiego, Michała Borucińskiego, Adama Bunscha, Stanisława Ostoi-Chrostowskiego, Stanisława Czajkowskiego, Stanisława Dybowskiego, Stanisława Ejsmonda, Bernarda Frydrysiaka, Vlastimila Hofmana, Aleksandra Jakimczuka, Apolonjusza Kędzierskiego, Marcina Kitza, Stanisława Klimowskiego, Kazimierza Lasockiego, Ignacego Łopieńskiego, Macieja Nehringa, Ignacego Pieńkowskiego, Wacława Piotrowskiego, Marji Rogowskiej, Anny Römerowej, Józefa Świrysz-Ryszkiewicza, Aleksandra Sarnowicza, Henryka Tellosa, Marji Wolskiej-Berezowskiej, Stanisława hr. Zamoyskiego, Stanisława Żukowskiego i wielu innych;*

rzeźby: *Stanisława Komaszewskiego, Roberta Lovella i in.*



Horyń wiosną. — Fot. Dr. A. Kelus.

O ETYCE W MYŚLISTWIE SŁÓW KILKA.

Myślistwo polskie, długo po macoszemu traktowane, zwłaszcza w okresie t. zw. sejmowładztwa, z trudem wielkim, ale kroczy naprzód, zarówno organizacyjnie, jak i ideowo. Trzeba było coprawda 10 lat, aby od chwili uzyskania solidnej ustawy łowieckiej dotrzeć do początków jednolitej organizacji, trzeba jednak wierzyć, że dalsze kroki będą szybsze.

W pochodzie naprzód i do góry wiele jest zagadnień do rozwiązania, wyświetlenia i ustalenia. Jednem z ważniejszych zagadnień jest sprawa t. zw. etyki myśliwskiej, a może raczej etyki w myślistwie. Artykuł p. W. Podhorskiego w nr. 12 „Łowca Polskiego" z r. b. jest wielkim krokiem naprzód.

Chciałbym dorzucić kilka uwag do tego samego tematu.

P. W. Podhorski rozważa w jakich warunkach porusza się myśliwy w czasie wykonywania myślistwa. Precyzując te uwagi, należy określić, że myśliwy styka się w myślistwie z trzema dziedzinami: z człowiekiem — towarzyszem myśliwym, ze zwierzyną — przedmiotem, oraz z całą resztą przyrody — będącą sceną i dekoracją, miejscem, gdzie odbywa się misterjum łowieckie.

Jeżeli się przyjmie te trzy dziedziny, to dla każdej z nich trzeba zastosować inną miarę, aby określić stosunek myśliwego do każdej z nich.

Na pierwsze miejsce wysuwa się stosunek myśliwego do swego towarzysza, a więc człowieka. Tutaj słusznie należy mówić o etyce, jako o mierze, której stosowanie umożliwiłoby jak najbardziej harmonijne współdziałanie towarzyszy myśliwych. Ale czy potrzebne i wskazane jest określanie tej miary etyką łowiecką? Osobiście sądzę, że nie. Czyż słusznem jest wyróżnianie, nazwę to: etyk zawodowych, a więc etyki lekarskiej, adwokackiej, kupieckiej, a między niemi i myśliwskiej? Czyżby mogło pewne postępowanie być etyczne pomiędzy myśliwymi, a nieetyczne np. pomiędzy kupcami, lub odwrotnie? Dla mnie odpowiedź jest prosta: miarą postępowania ludzi między sobą w społeczeństwie chrześcijańskiem powinna być etyka chrześcijańska. Dlaczego to słowo spotyka się tak rzadko? Czyżbyśmy tak dalece zabłądzili w dżungli pogaństwa, że słowo etyka chrześcijańska już nie miałaby prawa obywatelstwa?

Może będzie mi ktoś zarzucał, że to zbyt uproszczone rozwiązanie, że nie wszystkie zdarzenia w myślistwie dadzą się tą miarą dokładnie wycenić. Odpowiedź zasadnicza jest już wyżej. A o szczegółach pomówimy. Nie przeczę, że są okoliczności w wykonywaniu myślistwa, które wymagają miary swej własnej. Ale miarę tę mamy oddawna. Są nią zwyczaje myśliwskie, może tylko zbyt mało szanowane *) a już napewno zbyt mało szczepione młodszym pokoleniom myśliwych.

Słusznie p. W. Podhorski stwierdza, że społeczeństwo łowieckie nie jest jednolite. Ale też i zwyczaje myśliwskie są różne. Jeżeli nie sposób napisać kodeksu „etyki" myśliwskiej, to z łatwością można ustalić zwyczaje myśliwskie, a już prostym dalej obowiązkiem jest dla każdego myśliwego zwyczaje te szanować, do nich się stosować i swym następcom przekazywać.

Jeżeli stosunek myśliwego do towarzysza, jako człowieka do człowieka powinien dla całej Polski być zawsze oparty na jednej i tej samej, powszechnej etyce, to podniesienie wartości zwyczaju myśliwskiego pozwoli wyodrębnić różne sposoby wykonywania myślistwa, różne bądź dla całych dzielnic, bądź dla grup myśliwych, po całym kraju rozsianych.

*) I nie zawsze znane (Przyp. red.).

Sądziłbym, że myśliwych można zasadniczo podzielić na dwie grupy, które hołdują innym upodobaniom, innym też zwyczajom ulegają. Jedna, to myśliwi pasjonujący się polowaniem na zwierza w warunkach jak najmniej skażonych ręką i wolą człowieka, jak najbardziej dzikich i do prawzoru pierwotności zbliżonych. Dla nich zawsze milszą będzie słonka na ciągu, której żadna siła ludzka nie zmusi do przeciągania innym, jak swym własnym szlakiem, wytkniętym tajemniczemi prawami, przez Najwyższego nadanemi, milszą będzie od setki bażantów czy szaraków, wyhodowanych w zagajnikach lub na polach, równo linjami i drogami pociętych.

Biegun przeciwny, to myśliwi właśnie ceniący hodowlę z wynikami polowań, współzawodniczącemi ze sobą o lepszy, liczniejszy rozkład. Czyż można zmierzyć jedną miarą te dwie grupy? Wykluczone.



Niezwykła para przyjaciół. Fot. Gen. Cz. Jarnuszkiewicz.

Pomiędzy temi dwoma biegunami faluje tłum braci myśliwskiej to w jedną, to w drugą stronę. Boć nikt z nas, a przynajmniej wyjątkowo tylko hołduje skrajności. Ale w jednych przeważa zdecydowanie ten, u innych drugi moment. Zaś na łowach o tych dwu skrajnościach pamiętać trzeba i decydować się, która ma przeważyć.

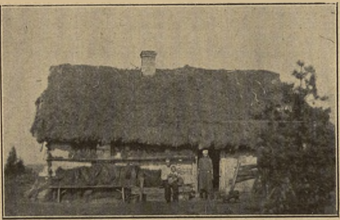
Trzeba wreszcie pamiętać, że pasja łowiecka, po pra-pra-ojcach odziedziczona, miała w swojem pierwotnem założeniu na celu zdobywanie zwierza dla jego mięsa, skóry i kości. Dopiero później przyłączył się moment rycerskiej zabawy, wysuwając się stopniowo na pierwsze miejsce. Pierwotne założenie przetrwało jednak do dziś, przejawiając się zarówno w chęci zdobycia zajączka na obiad u niedzielnego myśliwego, jak i w wysoko postawionej hodowli.

Te dwa momenty są równoważne, jednakie znadują źródło w tradycji i historji.

Druga dziedzina, z którą ma do czynienia myśliwy, to stosunek do zwierza. Występuje tutaj myśliwy, jako pan i władca wszelkiego żywego stworzenia, tylko już dziś skrępowany wieloma przepisami prawa. W miarę wzrostu zaludnienia prawo zabijania zwierza, ongiś dla każdego dostępne, doznawało coraz to większych ograniczeń. Dziś przepis prawa normuje gdzie, kiedy, a często i ile wolno myśliwemu zabić. Myśliwy musi coraz więcej szanować zwierza, aby go nie wytępić całkowicie. Idzie w tym kierunku i rozwój zwyczajów łowieckich, utrudniających zabicie zwierza w wielu dziedzinach łowiectwa.

Niemniej jednak pamiętać trzeba, że zadaniem myśliwego jest, było i będzie — ubicie zwierza. Nie należy zatem zbyt surowo potępiać strzału śrutowego

w niektórych wypadkach, natomiast należy jak najsurowiej potępiać strzały nieskuteczne, obojętne czy są kulowe czy śrutowe. W odnoszeniu się do zwierzyny znów trzebaby stosować inną miarę dla zwierzyny, dającej się z łatwością wyhodować w dużych ilościach, inną dla tej, która tylko w warunkach najbardziej pierwotnych jeszcze i dziś istnieć może.



Chata poleska. Fot. J. Hołyński.

Zwyczaje łowieckie, zdobywające sobie ostatnio prawo obywatelstwa, dążą do właściwego unormowania stosunku myśliwego do drugiego rodzaju zwierzyny, wyżej wymienionej. Niestety zwyczaj łowiecki nie jest przez olbrzymią większość myśliwych odpowiednio szanowany i dlatego trzeba raczej przyjąć, że im dokładniej będzie określony stosunek myśliwego do zwierzyny drogą obowiązującego przepisu prawa, tem prędzej w tej dziedzinie będzie można osiągnąć dodatnie wyniki. Przykładem jest oddziaływanie obecnie obowiązującej ustawy łowieckiej na zwierzostany.

Wreszcie pozostaje trzecie zagadnienie: stosunek myśliwego do przyrody, do całej tej reszty, która służy myśliwemu za scenę i dekorację. Myśliwy pierwotny, jakiś tam pra-pra-ojciec, całe swe życie spędzał w dzikiej puszczy, która była jego żywiołem. Zlewał się z nią, był jej organiczną cząstką. Teraz musi setki kilometrów nieraz przyjechać, aby módz znaleźć się w małym skrawku, resztce praboru, jeszcze ręką ludzką nietkniętego. Coraz trudniej przychodzi myśliwemu zrozumieć pierwotną knieję, coraz trudniej dostosować się do niej, stać się jej cząstką. Człowiek coraz więcej zmusza do posłuszeństwa siły przyrody.

I tu znów występują dwa przeciwległe bieguny postępowania i zachowania się myśliwego wśród przyrody: ręką i wolą ludzką do jego potrzeb już przystosowanej i woli jego posłusznej, albo dzikiej jeszcze i woli jego opornej. Tam przyroda już uległa woli swego władcy, tutaj łowca chyli czoło przed jej majestatem.

Na polowaniu, gdzie padają setki strzałów, myśliwy wesoło i głośno żartuje z towarzyszami, modnie ubrany doskonale harmonizuje z otoczeniem, które stanowią np. zagajniki w równe rzędy pozasadzane. W karpackim czy poleskim praborze stara się jak najmniej wyróżniać od tła kniei, odzywa się szeptem nawet po skończonym miocie, aby nie mącić uroczystej ciszy leśnej.

Przed wiekami, gdy przyroda hojnie obdarzała obfitością zwierza wszelakiego, jedyną troską łowcy, wolnego od wszelkich obowiązków wobec kniei, było zaspokojenie potrzeb własnych. Dziś na myśliwym ciążą już liczne obowiązki. Nie jest jedynym i wyłącznym użytkowcą darów przyrody. Wolno mu ich używać, ale tylko w takiej mierze, aby nie wyrządził uszczerbku dla całej wielkiej reszty społeczeństwa*). Wszak właśnie ta cała wielka reszta ustąpiła prawo przyrodzone zabijania zwierza dzikiego dla zaspokajania swych potrzeb garści uprzywilejowanych — myśliwym. Muszą więc myśliwi godnie z przywileju tego korzystać, aby nie być narażonymi na zarzut nadużycia.

Myśliwy polując styka się nietylko z przedmiotem pożądań, zwierzyną, ale i z całą resztą przyrody. Ta wielka reszta przedstawia dlań wartość nie do ocenienia. Im bardziej dary przyrody są przez człowieka szanowane, tem większe ma możliwości łowieckie. Ta cała wielka reszta jest nietylko do rozporządzenia myśliwego, społeczeństwo bowiem — cała reszta poza myśliwym, też chce cieszyć się darami przyrody, choć już w ograniczonej mierze, nie sięgając po życie tworów. Nowy problem, powstały niedawno i wzrastający równolegle do bezustannego przyrostu ludności, to ochrona przyrody, której naczelnem zadaniem jest: nie niszczyć, nie wkraczać zbytecznie, nie mącić ręką ludzką harmonji przyrody. Myśliwemu przypada wdzięczna rola znalezienia się w pierwszym szeregu pionierów ochrony przyrody, zarówno w ogólnym, jak i swoim własnym interesie.



Na Bobryku. Fot. J. hr. Broel-Plater.

Myśliwy pomstuje na pastuszków za zniszczenie gniazda kuropatw, a sam po śniadaniu, albo i przed, bo nudzi się, kropi do wszystkiego, co tylko się rusza.

A zatem towarzysze myśliwi, zanim w polu czy kniei znajdziemy się ze strzelbą, zawsze zagadnieniom stosunku do innych towarzyszy, do zwierzyny i do całej przyrody odrobinę czasu poświęćmy.

JERZY BŁESZYŃSKI

*) I przyszłych pokoleń. (Przyp. red.).

CHOROBA TOKOWA.

Mój brat cioteczny, dużo młodszy ode mnie, dobry myśliwy — niezrównany lisiarz z podjazdu — mieszka w sercu Podlasia. Zaprawił się tam na wszelką zwierzynę; poznał ją, wyczuł, ukochał.. Brak mu tylko n a j w y ż s z e j zwierzyny „kresowej".

Jest cichy, milczący, zrównoważony. Jak na młodego człowieka lat 30-tu — drażniąco spokojny, zda się, obojętny na wszystko...

Ale gdy o myślistwo chodzi — Weyssenhoffowska definicja pasuje do Jerzego S., jak ulał!

„*Myśliwy i po szosie idzie, a taki myśli. Za to on „myśliwy". A pole, choć i puste, jemu gada. Dlatego on poluje*". To jest jego żywiołem — życiem jego duszy zamkniętej, jakby odgrodzonej od świata fortecą niedostępności, nieufności i... wahania, gdy chodzi o jakieś choć względne ryzyko.

Ale Jerzy o myślistwie dużo, dużo myśli i — praktykuje. Aż zamyślił się wreszcie nad nieznanym mu „osobiście" głuszcem. Bo tyle czytał, słyszał!...

— Co za czort?!..

Jerzy ma wśród wielu innych — podlaskich i osobistych — jedną jeszcze wielką zaletę: chce zostać w toku żywota myśliwcem do dna. Wiem, jestem pewien, że sięgnie kolejno po jelenia (i tego z Karpat), po wilka, rysia, ba! po łosia, a może i po niedźwiedzia.

Narazie zadumał się nad głuszcem. Dumał — Bóg wie! — rok, a może i kilka lat... Aż na polowaniu u siebie powiada do mnie (na skromnem, szarem polowaniu na zające):

— A czybyśmy gdzieś razem na głuszce tego roku nie pojechali?... Ty masz te stosunki na Kresach... — i jakoś „łypnął" dziwnie oczami, które potem zaraz zamknął i znów otworzył — spokojniejsze, podlaskie...

— Oj — myślę sobie — niedobrze jest! Chłop „zlisił się" na wiarę; ale jak to przyszło?

Coprawda nie dysponuję własnemi tokowiskami, nie rozporządzam dziesiątkiem tysięcy hektarów mszarów i rojstów, ale... jakoś, chwała Bogu, poluję na głuszce już chyba coś dziewięć czy dziesięć lat... Zawdzięczam to tkliwemu myśliwskiemu sercu człowieka, który mi nic nie zawdzięcza i nie ma dla mnie żadnych obowiązków.

Ot, kresowe serce myśliwskie! Z ducha i „z rodu". Bóg mu zapłać i św. Hubert!

Może los pozwoli, że za tę rozkosz myśliwską olbrzymią, tamującą oddech w piersi i dobywającą serce wprost do gardła, do ust prawie — żeby mówić wtedy a śpiewać głośno można było! — odpłacę czemś najdrobniejszem, co Jego serce rozweseli, rozchmurzy, ucieszy...

Pomyślałem chwilę i mówię:

— Jerzy — pojedziemy razem na toki.

— Postaraj się, jabym bardzo chciał...

Zapiliśmy to postanowienie 70-letnim miodem wspólnego dziadka — i wyjechałem.

*

Jest taki starosta w Polsce, który zna nawylot Kresy, kocha je, jak szaleniec — który ojcem jest dla powierzonych jego pieczy obywateli, a jednocześnie świetnym administratorem oddanej mu w opiekę połaci ziemi, jej gospodarczych interesów; który prześciga innych w budowie dróg, szkół, zakładaniu spółdzielni, obsadzaniu instruktorskich placówek rolniczych; który rzewnie patrzy na swe miłe zadanie, a trzeźwo, mądrze, nieustępliwie, drogą prostą a sumienną, serdeczną a sprawiedliwą buduje Polskę na Kresach... Pamiętam go od „nowicjatu" na tym urzędzie — już wiele lat, i patrzę wciąż na jego pracę. Takich nam wszystkich!

I ten starosta, mój przyjaciel, Wiktor N. (nomen omen) jest myśliwym - bałwochwalcą. Nie żyłby, gdyby nie polował... Ach, nie to! Gdyby nie odnawiał żywotnych soków serca i mózgu wśród tęsknych, szarych, bezbrzeżnych, północno-wschodnich dziedzin puszczy.

I jakoś myśmy we dwóch dopasowali się wzajem. „Czujemy się" i szanujemy nasz wspólny zew łowiecki, który wyrywa się od twardej pracy powszedniej, od ciężkich obowiązków dnia zwykłego, od chęci tworzenia lepszych dni przyszłości — każdy w swojem kole...

Od szeregu lat jeździmy z nim wiosną na głuszce. Właściwie jemu zawdzięczam najmilsze poznanie właściciela najbardziej północnych głuszców w Polsce — co to nigdy niewiadomo kiedy rozśpiewają się na dobre, co potrafią grać zapamiętale w „serdeczną" zawieję śnieżną, a milczeć znów wtedy, gdy cały świat ptasi śpiewa, nuci, dzwoni, goni się, tańczy, czupurzy się i walczy o... miłość.



Po wschodzie słońca. Fot. Dr. A. Gmerek

Bo niech mi kto co chce mówi — a przecież ten „najpółnocniejszy" polski głuszec jest niezwykłym fantastą, oryginałem.

Więc — myślę sobie... I piszę do Wiktora: tak i tak. A Jerzego uprzedzam, żeby w razie czego nie miał pretensji i nie popadł w rozczarowanie... do mnie.

Dusza myśliwska rozumie bratnią duszę, jak żadna inna... Łańcuch tych dusz bratnich, kresowych, jest niezawodny!

Pojechaliśmy z Jerzym na głuszce!

Zanim dojechaliśmy na miejsce, po drodze opowiedziałem mu tyle o własnych „tam" przeżyciach, o tej swojej „chorobie tokowej", tak opisałem czar wiosennej kniei wileńskiej z jej rojstami, chuderlawemi sosenkami, „co to nigdy inne nie będą"; z oczkami wody na mszarze, dokoła których wczesną wiosną puszcza i zakwita „smyczka"; ze ścieżynami, wydeptanemi wśród „starodrzewu" głęboko w mchu, poprzez łan żórawin i bahunu — że chłop zadumywał się coraz więcej, stawał się coraz bardziej milczący i skupiony, a nadto uśmiechać się zaczął daleko częściej, dłużej i bardziej znacząco, niż to było jego zwyczajem.

Nic dziwnego. Tu już, na gruncie właściwym, gdzie przez szyby biegnącego wagonu można było potrosze naocznie sprawdzać opowiadanie i wżywać się istotnie w przedstawiane słowem nastroje, wspomnienia

moje, malowane wiernie i gorącem sercem, wydały się Jerzemu bliższe w swych obrazach, niż czytane w „Puszczy", „Sobolu i pannie", lub „Pieśni puszczy"... Słowa nabrały życia i blasku uczucia, nietylko jak wzięte z nieznanej artystycznej szlifierni barw i dźwięków malarza lub poety.

Wprawdzie Jerzy nie orjentował się w „geografji" okolicy, ani w wyrazie typów, które mu przedstawiałem, jeszcze osobiście obce mu były tokowiska „Oświta", „Osiny", „Pod Nowosiołkami", „Tuzok", jeszcze nie doszły doń całkowicie i nie przeniknęły serca łagodne spojrzenia ani śpiewne zdania Kosarzewskich, Czebotarionków czy Sikorów, a przecież obraz ogólny „zaludnionego" przez nich wraz z nami tokowiska rysował mu się już na tle buchającego jarkim płomieniem przed budanem ogniska, a do uszu przenikały podświadomie wszystkie odgłosy wieczoru, nocy i dnia w puszczy... Nawet komary zdawały się już cieniutko bzyczeć tuż przy uszach.



„Bolszewickie" głuszce, strzelone po naszej stronie, 25 mtr. od granicy Fot. Dr. A. Gmerek.

A potem samo Wilno... Ostra Brama!... Szereg pięknych świątyń, mnóstwo krętych i wąskich uliczek i zaułków... Dokoła wzgórza, lasy... Zachód słońca, kąpiący złotem mury wspaniałej Katedry na tle Antokolu... I znów nieco prozy: kilka sklepów dla skompletowania potrzebnych sprawunków, wczesna kolacja w pustej sali u „Georga" i powrót na dworzec.

Na godzinę przed odjazdem spotkanie ze Starostą-Wiktorem (o którym myśleliśmy, że oczekiwać będzie na miejscu), radość z tego powodu, „strzemienne" piwo i odjazd na całą noc pociągiem nie-pośpiesznym bynajmniej, a tak pełnym, że po namyśle uciekliśmy do pustych przedziałów drugiej klasy, gdzie za drobną dopłatą znaleźliśmy pożądany sen i wypoczynek aż do rana.

A potem jeszcze godzina jazdy w różowych blaskach rannego słońca, wśród zupełnej puszczy, siedziby wilków, rysi, sarn, głuszców i — ostatnia stacja...

Trzech gajowych zabiera bagaż myśliwski, a my w różowych humorach, po tającej w słońcu grudzie, wózkiem - trzęsionką zbliżamy się powoli do Dzisienki, do rzędu wielkich topoli, stojących jeszcze „nago" nad samym jej brzegiem, pomiędzy pocztą i posterunkiem a leśniczówką, do której, nie chcąc tracić czasu na objazd mostem, przybijamy prawie bezpośrednio łodziami po spienionych nurtach opadłej już, ale rwącej jeszcze wiosennie rzeki.

Pan leśniczy P. na ganku — powitania — umywalnia — pokój stołowy — sen — znów pokój stołowy (stół wielki, okrągły, zawsze tak pełny zastawy, że trudno o oparcie łokcia) — wózek przed gankiem z nieodzownym „Dziuszką" na „kozłach" i — w puszczę... na zapady...

Gaik, łąka, potem przejazd pomiędzy błotem i mszarem pardwim, a gęstą olszyną, gdzieniegdzie przerywaną białawą korą osik, lub ciemną zielenią świerków — kładki przez szeroki mszar, a u ich końca sosnowy drzewostan dość rzadki, a u nóg sosen żórawiny i bahun... i ta ścieżyna kręta, na której lgną w mchu stopy, a czasem chlupnie woda.

A na to Jerzy:

— Tak, jak opowiadałeś, wszystko...

— Och, tylko ten wiatr dzisiejszy! O nim zapomniałem, jak szumieć uparcie tu potrafi.

A potem już wszystko, jak trzeba z „programu". Rozpalanie ogniska, postawienie wody na herbatę... Gawęda... Łączenie się w pary z gajowymi, na przydział stały całego pobytu.

Zapady — pierwsze: nieudane. Jeden tylko kogut jest pewnie zasadzony, innych odgłosy wieczorne zginęły widać w mocnym poszumie sosnowych kiści.

Żórawi trąbienie. Odejście przed świtem w las ciemny na niepewne losy: — czy zaśpiewa?...

Zbudzone życie puszczy... przedświt... świt.. dzień... Gry nie było...

Trudno opowiadać wszystko pokolei, dzień za dniem. Program wymagał co ranka powrotu do niedalekiej leśniczówki... „Program" zmuszał do obżarstwa przy gęstych kolejkach... I znów w puszczę przed wieczorem, i powrót rankiem, i tak przez tyle dni, ile czasu starczyłoby komu.

Myśmy tej gościnności puszczy i ludzi doznawali przez dni sześć. Niegościnną okazała się tylko pogoda. Wiatry zamieniały się w deszcze, chwilami dość ulewne, które znów ustępowały wiatrom na same zapady, lub deszczom w sam podchód ranny.

I Jerzy głuszca nie zabił...

Widział go przez dni cztery z rzędu, obserwował dokładnie, jak zmieniał drzewa pieśni, choć niepłoszony, lecz goniony tęsknotą do szarych głuszyc, oczekujących na ziemi, wreszcie sfruwał do nich, puszył się tam, tańczył, grał i... kochał w oczach ludzkich.

Jerzy wracał do budanu coraz bardziej upojony i uroczony... Smętniał i opanowywało go coraz większe zwątpienie. A potem uczepił się relacji o równie nieszczęśliwych moich pierwszych tokach głuszcowych i zawyrokował:

— Nic z tego nie będzie tego roku.

I nie było...

A gdy przyjechał nadleśniczy R. S. żegnać nas, a instalować następnych gości w tej samej leśniczówce, gdy pogoda zaczęła się jakgdyby poprawiać — Jerzy już całkiem zamknął swą boleść w sobie i... spełnił wszystkie kolejki, jakie nam na pocieszenie nalewano. Boć i ja wyjeżdżałem tylko z jednym głuszcem.

Piękny jest ten smętny kraj, uroczny, czarem przenika duszę myśliwską do głębi i czyni z człowieka bałwochwalcę jego krasy, współżycia z nim, serdeczności ludzkiej, a nawet — zawodów łowieckich...

*

Już w Warszawie rzekł mi Jerzy, prawie przez całą drogę powrotną unikając rozmowy o tem, co niedawno było:

— No, ale widzę, że na przyszły rok niepodobna mi nie jechać na toki.

— Tak, tak... — odpowiedziałem i zamyśliłem się nad czemś głęboko i smętnie.

Po chwili dopiero zdałem sobie sprawę, że przychodzi na mnie zwykła fala żalu, która zawsze zalewa serce, gdy stamtąd powrócę. Żalu, że nie mogę tam być zawsze!

A w miesiąc po powrocie do siebie na wieś, gdy mi Jerzy przysłał wiadomość o jakimś wyjątkowo oburzającym czynie kłusowika, post-scriptum jego listu brzmiało:

— Ciągle mi brzmi w uszach: „tek, tek, te-tek, te-tek, te-tek, te-tek! Czi-czi-czi-czi-czi...". To zaraźliwa rzecz i wieczorem nieraz sobie „tokuję". Myślę, że ten „mój" na dalekiej „Oświcie" cieszy się dobrem zdrowiem, czego mu życzę!

Kochany Jerzy! Za takie postawienie sprawy przed sobą samym następna wiosna przyniesie Ci upragniony wachlarz napewno. Ale „choroba tokowa" już Cię nie opuści nigdy.

WŁADYSŁAW ZABIEŁŁO.

TROP, CZYLI HISTORJA WIERNEGO PSA.

Trop mógł być dumnym nie z tego, że pewien szacowny i bogaty pan z Ameryki nosił to samo nazwisko, ile raczej z tego, że był kapitalnej rasy psem. Ale Trop nie był człowiekiem, więc był napewno obojętny na swe walory. Ja zaś, będąc zupełnie przeciętnym człowiekiem, jako najczęstszy jego lekarz i wychowawca, ceniłem wielce zalety Tropa. Odczuwał to pies i rewanżował mi się swem przywiązaniem i rozumieniem moich pewnych nastrojów, uchodzących nawet oka ludzkiego.

Urodził się, kiedy byłem w wieku „błogiego szczenięctwa". Radowały mnie małe rzeczy, umiałem oderwać się od myśli frasobliwych, a wielkich zwątpień i trosk nie znałem. Ot, zwyczajnie, jak u dziecka. Dlatego, że byłem głupszy, miałem w sercu więcej pogody i słodyczy. Kochałem świat cały, wszystko, co żyje, śpiewa, lśni, drga i gra. Rytm, kształt i dźwięk. Słońca żar i beztroskę.

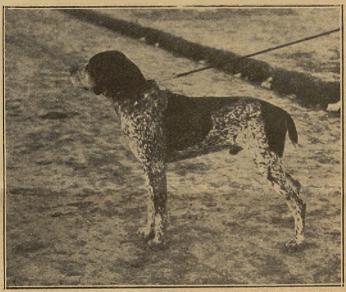
Na dziewiąty dzień po urodzeniu, odłączyłem pieska od matki, którą wziąłem w bandaże: zanadto nadwyrężały psiaczki (a było ich razem 9) matczyne sutki, ociekające w końcu krwią! Nadzwyczaj trudny to był okres ich pielęgnowania. Ale szczęśliwie skończył się dla wszystkich, zwłaszcza dla mego pupilka.

Porównując Tropa z jego rówieśnikami, miałem przyjemność skonstatować jego niezbitą przewagę nad nimi. Trop przewyższał rodzeństwo wzrostem, głęboką, potężnie sklepioną klatką piersiową, niezwykłą muskulaturą, no i cechami swej jaźni. Już po 6-ciu tygodniach przeszedł elementarną tresurę domową, a więc aport, reagowanie na gwizdki i głos, szukanie „zguby" i t. d., a że robił to z jakąś nadzwyczajną elegancją i wdziękiem (co też zostało w nim do samej śmierci), wzbudzał u ludzi dużo sympatji i nawet podziw dla swego piękna i charakteru.

Trop lubił przebywać w towarzystwie ludzi, nie dlatego bynajmniej, żeby mu imponowali, ale dlatego, że wrażliwość miał ogromną, kiedy czuł delikatny dotyk subtelnej dłoni ludzkiej na swym rasowym łbie. Bezceremonjalnie gramolił się wtedy na kolana pieszczących, poczem zwinięty w kłębek, okrywając się poprostu długiemi, aksamitnemi uszkami, smacznie zasypiał. Ta cecha została mu przez całe życie, chociaż ze względu na swą późniejszą wagę i wielkość trudniej nieco było mu znaleźć amatorów zaspokajających jego bądź co bądź płoche zachcianki i ekstrawagancje.

Ze mną nie krępował się zupełnie. Może nieomylnie wierzył w moją cierpliwość? Dość, że w chwilach nastroju wieczornego wyszukiwał mnie na werandzie, czy balkonie, samotnie siedzącego, kładł na płask swą mądrą głowę na kolana i, patrząc uporczywie w oczy, wzdychał głęboko, jakby z namysłem, raz i drugi, następnie z ufnością dziecka właził na kolana cały. Musiałem wtenczas rozkładać ręce, trzymając pysk jego i tułów, aby nie spadł. I dziwna rzecz, wypełniał mnie wtedy sobą istotnie, skierowując moją uwagę na tory głębiej pojętego altruizmu.

Psów zazwyczaj unikał. Baraszkował rozkosznie jedynie z matką swą Alfą (hodowli profesora Bujwida z Krakowa). Szaleńczo odważny, porywał się na psy różnych ras, a że siłę i zręczność miał niepoślednią, zazwyczaj wychodził z opresji zwycięsko. Najczęściej obrywał od swego rodzonego brata, który, mieszkając na poprzecznej ulicy, często zachodził w gościnę pod locum Tropa. Brat, wiadomo, jak brat, a że był lisio chytry, to najpewniejsze!



Trop.

Wykorzystywał wszelkie momenty, aby niepostrzeżenie podejść, ukąsić i czemprędzej czmychnąć! Awantury więc były częste, a łzom i skomleniom Tropowym nie było końca. Moja zaś ambicja chłopięca cierpiała: jakże to! mój pupil dostaje w skórę!! Toteż niepomiernie zdziwiła mnie długa pauza, jaka nastąpiła po ustawicznych ich waśniach. Cóż się okazało? Otóż Trop, rozgniewany do ostateczności, dał mu któregoś dnia taki „wycisk", że „faryzeusz" odtąd wogóle nie pokazywał się! Zabawne było patrzeć na jego ochotę przyjścia do nas i na jego paniczny lęk i bojaźń. Omijał ulicę o dobre 200 — 300 metrów. Stawał już zdala i przyglądał się, a gdy dostrzegał Tropa, zwiewał, jak duch.

Trop, mając żywy temperament, był bardzo kochliwy. Kiedyś, a było to w maju, dał ogromnego susa przez parterowe okno naszej kamieniczki. Tego dnia tyleśmy go widzieli! Opowiadali potem znajomi, że na mieście spotkali go w otoczeniu istnego haremu psich „dziewic i kobiet", że szafował swą „wilczą" siłą ze wspaniałomyślnością i darami swego rycerskiego serca, wzamian za rozkosz ich zdobycia.

Mając 10 — 11 miesięcy, Trop był całkowicie ukształtowany. Toteż zdecydował się mój Ojciec wziąć go na „pierwsze pole". Próba polowa wypadła doskonale: pod względem sprawności i użyteczności Trop zapowiadał się jako pies extra klasy. Ja byłem rozpromieniony: Ojciec tego dnia często mówił

o Tropie! Wiatr miał pies nadzwyczajny, w zależności od aury, ciągnął i podchodził dołem i górą, woląc zasadniczo „górny wiatr".

Ja jeszcze wtedy nie zdawałem sobie sprawy z tego, że wiatr tego rodzaju jest u psa więcej ceniony, jako skuteczniejszy. Dla mnie momenty estetyczne decydowały, a Trop w tych wypadkach wyglądał, jakby wykuty z marmuru, mając grzbiet wyprężony w strunę i łeb łagodnym łukiem wzniesiony do góry! Nogi jego, panieńsko smukłe i kształtne, były harmonijnie powiązane z całością, gdy do tego dodamy ich bezbłędne i klasyczne ustawienie, jego ruchy pełne maestrji i gibkości — widok, jaki stwarzał, był zachwycający! Nie będzie przesady, jeśli powiem, że innym dobrym psom jeszcze się nie śniło „markować", gdy Trop pewnie już „czuł" zwierzynę i niebawem twardo wystawiał, co było tem cenniejsze, że chody miał szerokie.



Miot Springer-spanieli z dnia 7 III. 1937 r. po „Cherry Brandy" i „Brave Lass", hodowli P. Gen. Marji Jarnuszkiewiczowej.

Miewałem też wypadki, kiedy „anonsował" mi cietrzewie, ale robił to, mając jakieś 8 lat, a więc na rok przed swoją śmiercią... Opuścił swoje miasto rodzinne Puławy, po nieomal dwurocznym w niem pobycie. Od roku 1928-go zamieszkaliśmy na stałe w Warszawie. Ze stolicy miał pies częstsze i lepsze wypady w teren. Toteż z chwilą tą rozpoczęła się jego złota passa i „szlachecka" księga! W dwa lata później zdobywa na Wystawie Psów wielki złoty medal, bijąc bezapelacyjnie swoich rywali.

W roku 1932 miałem zaszczyt wziąć czynny udział w organizacji „Wystawy Psów Rasowych". Jako członek Zjedn. Tow. Opieki nad Zwierzętami, ich hodowca i miłośnik łowiectwa, zetknąłem się ze znanemi osobistościami z pośród przyrodników-myśliwych i kynologów: P. P. Red. Garczyńskim, Knothe, Stolarowem i Trybulskim, ze wskazówek których dużo skorzystałem. W miejscu tem pozwolę sobie serdecznie Im za to podziękować.

Trop osiągnął na wystawie tej niebywały sukces, uzyskując w klasach I, IV (Zwycięzców) i V-tej — pierwsze miejsce i złote medale! Było to koroną i ziszczeniem moich marzeń młodzieńczych — medalem za moje trudy kilkoletnie i tygodniami noce niespane... W rasie „Krótkowłosego Wyżła Niemieckiego" Trop w Polsce nie miał sobie równych! Byłem w „ósmem niebie" i nabrałem zaufania do swoich metod hodowlanych. Ze szczerą przyjemnością i satysfakcją podzielę się swem skromnem doświadczeniem w tej dziedzinie z czytelnikami.

Otóż, jak wiemy, warunki hodowli Tropa były najcięższe, a rezultaty zdumiewające, tem ciekawszem powinno być to, co powiem. Zwłaszcza dla hodowców amatorów. Bo tacy tylko (w mojem zrozumieniu) kwalifikują się na miano najlepszych. Po pierwsze trzeba uzbroić się w kolosalną cierpliwość i wytrwałość. Czasem poprostu byłem zziajany cierpliwością, ale mimo to psa nie uderzyłem! Pies przez to nabierał wdzięczności i starał się lepiej pracować. Po drugie, znając z bacznej obserwacji psa, uwzględniałem jego popędy do rozrywek, co więcej — sam mu wytwarzałem sprzyjające po temu warunki. A rezultat? — Ano był wiadomy: pies oceniał moją dobroć i stawał się coraz to głębszym moim przyjacielem, gotowym do bezwzględnej obrony mojej osoby przed „wszelkimi wrogami". Po trzecie: do roku zupełnie go nie myłem, to umyślnie podkreślam, bo śmiało mogę twierdzić, że pies był silniejszy i znacznie lepiej rósł! Oczywiście o czystość jego dbałem, czyszcząc dość szorstką szczotką niemal codzień.

Nie będę podkreślał wagi dla niego powietrza świeżego, no i ruchu, bo znaczenie ich dominujące w hodowli jest jasne.

Skończywszy z higjena i warunkami klimatycznemi, przejdę możliwie najkrócej do dietetyczych. Do 8-miu miesięcy pies pił mleko. Najpierw bardziej rozcieńczone i słodzone cukrem (takie pił 2—3 mies.), potem coraz to normalniejsze. Krowie kwaśne dawałem po 6 mies. i to w dużych ilościach (np. do 1 lit. dziennie). Oczywiście trzeba tu uwzględnić apetyt psa na nie i obserwować działanie kwaśnego mleka na żołądek psa i kiszki. Z kasz, codzień świeżo gotowanych, choćby nawet nie były całkowicie zjadane, dawałem mu perłową (pęczak) i hreczaną (grykę), w ilości ćwierć kilo dziennie, przyrządzałem je na mięsie, ale nie wieprzowem, którego nigdy psu nie dawałem. Mięso wygotowane i zmielone, zmieszane z kaszą, otrzymywał do jakichś 7 — 8 m. od chwili urodzenia. Jeszcze raz zaznaczę, że podstawowym produktem odżywczym do ½ roku życia Tropa było mleko, do 1 roku mleko normalne + kwaśne (od 8 — 12 mies.), kasze przez 3 dni w tygodniu, kraszone raz mlekiem, albo jeśli były gotowane na mięsie, mieszane z mięsem i nieco podlane mlekiem.

Po roku doszły większe porcje mięsa mielonego, tudzież jarzyn mielonych, mieszanych z kaszami i mlekiem, albo z kaszami i mięsem tak, że waga dziennego jego pożywienia sięgała 1 kg. (maximum!). To byłoby, zdaje mi się, wszystko, jeśli chodzi o odżywianie psa.

Po roku zwróciłem też baczniejszą uwagę na sferę płciową Tropa, co szczególnie śmiem zalecić hodowcom.

Na polowaniach Trop obficie „pławił" się w wodzie, zwłaszcza zwracałem na to uwagę podczas upalnych dni. Po takiem odświeżeniu zupełnie dorosły i zdrowy pies odzyskiwał nowe źródła energii i mógł chodzić w tempie galopowem od rana, do późna w wieczór. Co ważne, że na drugi dzień mógł znów pracę swoją rozpocząć bez żadnego ryzyka choroby, czy niechęci...

Trop poznał kraj lepiej ode mnie. A więc Lubelszczyznę, Kongresówkę, Poznańskie, Polesie i Nowogródczyznę. Ocierał się o ślady wilcze, rysie i dzicze. Pachniały mu i szumiały bory i trzęsawiska poleskie, knieje i mszary litewskie. Nie zliczyć tysięcy ptactwa, które widział, bądź aportował! A więc kaczek przeróżnego gatunku i upierzenia, kulików, kulonów, bataljonów, kszyków, dubeltów i słonek, jarząbków, pardw, cietrzewi i kur! Przechodząc przez mateczniki być może budził w sobie odległe (bo sięgające czasów najprymitywniejszych), atawistyczne echo-zew krwi praojców, kiedy to pies sobie samemu byt zawdzięczał. I mimowoli jeżyła mu się sierść, prężył się grzbiet i oczy nabierały jakiegoś złowróżbnego, wilczego blasku i pożądania.

W swem bujnem życiu obracał się w towarzystwie najwytrawniejszych myśliwych i znawców głosu natury. Zaryzykuję nadmienić, że wątpię, czy danym

mi kiedy będzie, nawet w przyszłości, zaszczyt trafienia do podobnie wysokiego grona!

Chociaż należę do miernych strzelców i myśliwych, bywam smutny, bo staram się dźwignąć ciężar, gniotący barki tych najlepszych — kamienną rozpaczą, żyjących dziś w królestwie grobów, ciężar niedomówionych zwierzeń i czynów niedokończonych, aby tem, nieproblematycznie zresztą zupełnie, ulżyć ich nieznanej doli...

Trop nie zrażał się słusznie odczutą krzywdą. Do ostanich chwil pracował nad podziw skutecznie w polu, na wodzie i w lesie. Będąc w „Krainie mszarów bezkresnych i dobrych ludzi", przeżywał jakby renesans swej młodzieńczej formy. Było to w połowie sierpnia 1935 roku, na terenach P. P. Gieysztorów, w Ostrowlanach, u styku powiatów brasławskiego i dziśnieńskiego. Ostatnie to było polowanie moje w towarzystwie Ojca. Ostatnie i niezapomniane rozmowy, pamiętam, wiódł ze mną na temat subordynacji i niesubordynacji wobec starszych, wobec Jego znajomości życia i niezwykłego doświadczenia... Ojciec mój był tak dobry, że gawędził ze mną, jak z równym sobie, jak przedtem nigdy...

Poczułem wtedy przypływ wiary w siebie i potężną wdzięczność do Ojca za to, że tak sprawiedliwie mnie rozumiał i oceniał! A przecież któż mógł przewidzieć, że są to nigdy już niepowtórzone słowa i wskazania, że śmierć, choć w aureoli słońca i zieleni, tak nagle i tak beznadziejnie nieodwołalnie przerwie pasmo Jego niezwykłego żywota.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, w miesiąc potem ginie Trop... Utajona i skomplikowana choroba śluzówki żołądka po dwutygodniowych z nią żmudnych zmaganiach, mimo wyczerpania wszelkich możliwych środków przez lekarzy i mojej osobistej pasji utrzymania go przy życiu, zabiera Tropa w krainę zaziemską...

Jeszcze raz tragizmowi człowieka i jego wiedzy stało się zadość: śmierć zwyciężyła... Pochowałem Tropa w miejscu znanem i cichem, w pewnym ogródku na Mokotowie... Niktby nie przypuszczał, że miesiąc sierpień 1935 roku, będzie ostatnim miesiącem, łączącym w naszej płaszczyźnie życia, wspólne zamiłowania ludzi, nad życie kochających się, i wiernego, mądrego psa.

I niech nie dziwi to nikogo, że, będąc w grubej po Ojcu moim żałobie, w rojeniach sennych miewałem to dziwnie smutną, ale spokojną twarz Ojca, to wierne, wszystko rozumiejące i widzące oczy Tropa. I niech nikogo nie zdziwi, że, budząc się, jakby rozrywałem duchową jednię z Nimi, czując niczem niewypełnioną próżnię w sercu, mej duszy *semper fidelis*...

ZBIGNIEW SKRZYŃSKI.

OBRONA POTOMSTWA U PTAKÓW.

Poruszany obecnie przeze mnie temat należy do najciekawszych, ale zarazem i najtrudniejszych do podpatrzenia, oraz do najmniej zbadanych tajników wiedzy ornitologicznej. Dziesiątki i setki wybitnych uczonych świata w ciągu długiego swego żywota nie miały nieraz możności obserwowania wypadku przenoszenia przez ptaki jaj lub piskląt i dlatego fakty te, ogromnie podnoszące i podkreślające nieprzeciętną inteligencję ptaków — są do dzisiaj bardzo mało znane nawet specjalistom-ornitologom, nie mówiąc już o całej masie miłośników przyrody, lub zwykłych inteligentów.

Gromadząc od przeszło dwudziestu lat zbiór jaj ptasich, znajdywałem w tym okresie czasu już nie setki, a tysiące gniazd z jajkami, względnie pisklętami rozmaitego wieku, oraz obserwowałem sposoby zachowania się ptasich rodziców przy zagrożonej kolebce swego potomstwa. To mnie poniekąd upoważnia i ośmiela do zabrania głosu w tak mało zbadanej dotąd dziedzinie nauki o ptakach. W polskiej literaturze ornitologicznej brak jest prawie całkowicie pracy na podjęty przeze mnie temat, toteż do własnych obserwacyj pozwolę sobie także dołączyć znane mi spostrzeżenia i innych autorów — by zebrać w jedno miejsce rozproszony dotąd po książkach i czasopismach materjał naukowy, dotyczący kwestji przenoszenia przez ptaki piskląt lub jaj z zagrożonego gniazda do jakiegoś bezpieczniejszego zakątka. Problemat naukowy nie da się ująć w ramy miłej dla wszystkich literatury — postaram się jednak z pracy swojej stworzyć rzecz popularną i interesującą, przynajmniej dla tych czytelników, których pociągały zawsze ciekawe obyczaje ptaków polskich.

W szerokich sferach naszego społeczeństwa istnieje przekonanie, że ptaki są bardzo wrażliwe na „woń potu ludzkiego" i wystarczy tylko dotknąć ręką krawędzi gniazda, jaj, lub pisklęcia — by ptak opuścił raz na zawsze swe potomstwo. To mniemanie, bardzo cenne, jeżeli chodzi o ideę ochrony ptactwa, jest jednak w gruncie rzeczy najzupełniej fałszywe. Znam bowiem tylko trzy gatunki, a mianowicie bażanta (Phasianus colchicus), turkawkę (Streptopelia turtur) i zaganiacza (Hippolais icterina) które spłoszone z gniazda najczęściej już doń więcej nie powracają. Wszystkie inne ptaki odznaczają się olbrzymiem przywiązaniem do swego potomstwa i nie porzucają go nawet wówczas, gdy są spędzane z gniazda choćby codziennie. Naturalnie o ile ktoś zechce specjalnie hałaśliwie płoszyć wysiadującą samiczkę, lub ciskać w nią patykami — to ptak, rzecz prosta, gniazdo opuści. Takich jednak wypadków nie można brać pod uwagę. Nawet i wspomniane gatunki, jak bażant, turkawka i zaganiacz, wyrzekają się gniazda tylko w takim razie, gdy zawiera ono jaja; piskląt i te ptaki nie porzucają w żadnym wypadku.

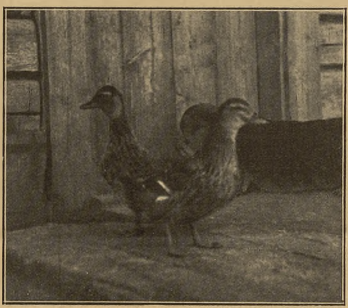
Kiedyś zdarzyło mi się znaleźć specjalnie piękne gniazdko szczygła (Carduelis carduelis) z jajami. Postanowiłem zabrać je do zbioru, nie niszcząc jednak lęgu. W tym celu przełożyłem jaja do posiadanego starego gniazda szczyglego, różniącego się jednak bardzo barwą i wyglądem od tego, które zamieniałem. Stare gniazdo umocowałem nićmi do gałązki i czekałem na rezultat. Samiczka wysiedziała młode i wychowała je należycie, jakby się wcale nie orjentując w tem, co zaszło.

Zachęcony tem doświadczeniem, zabrałem później gniazdo zięby (Fringilla coelebs), przekładając jaja do zniszczonego gniazda dzwońca (Chloris chloris). I znowu ląg odbył się normalnie, a ptak nie okazał żadnej nieufności, chociaż z pewnością musiał zauważyć odmienny wygląd kolebki.

Te dwa przykłady przytoczyłem poto, by wykazać ogromne przywiązanie ptasich rodziców do swego potomstwa, którzy, mimo wyraźnej gospodarki ludzkiej w gnieździe — nie wahali się pełnić nadal swych rodzicielskich obowiązków. Właśnie ta wielka miłość ptaków do dzieci powoduje rozmaite sposoby obrony gniazda, sposoby zadziwiające często sprytem i zmyślnością, zwłaszcza gdy chodzi o ukrycie tej przyszłej kolebki, lub odprowadzenie od niej zbliżającego się napastnika. Istnieją gatunki, które robią to po mistrzowsku i potrafią oszukać nietylko czworonoga, ale i człowieka.

Jednym ze sposobów ratowania zagrożonego gnia-

zda, spotykanym dość często u rozmaitych gatunków naszych ptaków, jest atakowanie wroga. Szczególniejszem męstwem odznaczają się np. drozdy, zwłaszcza kwiczoł (Turdus pilaris). Para tych ptaków rzuca się z wściekłością na znacznie nawet większego od siebie nieprzyjaciela i donośnym wrzaskiem, oraz uderzeniem dziobów zmusza go do ucieczki z okolic gniazda. Widywałem niejednokrotnie, jak kwiczoły napadały na wronę, która ukazała się w pobliżu drzewa z kolebką ich dzieci, widziałem też, jak goniły niewinną kraskę, co chciała tutaj spocząć. Ale najciekawszą scenę obserwowałem raz, gdy na sośnie z gniazdem ukazała się wiewiórka. Zatrwożeni rodzice tak gwałtownie uderzyli na napastnika, że przerażona tancerka leśna biegała jak szalona po całem drzewie, usiłując napróżno uniknąć bolesnych ptasich ciosów, aż wreszcie, nękana bezustannie przez rozwścieczone kwiczoły — skoczyła z wierzchołka sosny na ziemię i uciekła w las. Nawet człowieka ośmielają się one zaczepiać, podlatując blisko ku niemu z przeraźliwym krzykiem.



Krykuchy. Fot. R. Rogowski.

Niemniej odważne są dzięcioły. Przypominam sobie wypadek, gdy zawieszony na gałęzi wierzby, rosnącej nad rzeką, zaglądałem do dziupli dzięcioła pstrego większego (Dryobates major) — zostałem nagle tak mocno poczęstowany dziobem w rękę, że omal nie spadłem z drzewa do wody, a rankę, powstałą od tego uderzenia, leczyłem przez parę tygodni. Skoro tylko zbliżyć się do dziupli jakiegoś dzięcioła — natychmiast zjawiają się oba ptaki i skaczą po drzewie z donośnym krzykiem, a mniejszych napastników, jak wiewiórkę, kota, odpędzają uderzeniem dzioba.

Bardzo wojowniczym ptakiem jest zaganiacz (Hippolais icterina), mały, zielono upierzony śpiewak naszych sadów i ogródków miejskich, gnieżdżący się najchętniej w krzakach bzu, tawuły, lub akacji żółtej. Ptak ten szarżował już kilkakrotnie na mnie, gdy zbliżałem się do jego siedziby, a i dr. Jan Sokołowski, w swem dziele „Ptaki Ziem Polskich" pisze: „Raz zdarzyło mi się, że samiczka nadleciała i silnie uderzyła mię skrzydłami w czoło, gdy chciałem zajrzeć do gniazdka".

Podobnem męstwem odznacza się dzierzba gąsiorek (Lanius collurio). Cytowany powyżej autor pisze: „Pewnego razu, gdy fotografowałem gniazdo gąsiorka, podleciała samiczka tak blisko, że musnęła mnie skrzydłem w czoło". Na mniejsze drapieżniki rzucają się te ptaki równie gwałtownie i prawie zawsze potrafią zmusić napastnika do odwrotu. Żadna wrona nie ośmieli się zbliżyć do ich gniazda w obecności rodziców. Taksamo jak gąsiorek, zachowują się i trzy pozostałe nasze dzierzby.

Dobrze znany wszystkim szpak (Sturnus vulgaris) równie zaciekle broni gniazda przed najściem drobnych napastników. Widziałem kilkakrotnie szarże tych ptaków na zbliżającą się wiewiórkę, która zawsze musiała się wycofać, a raz byłem świadkiem bójki szpaka z krętogłowem (Iynx torquilla), który zapragnął zajrzeć do dziupli, zawierającej jaja szpacze. Walka trwała kilka minut i odznaczała się ogromną zaciętością, wkońcu krętogłów uznał się za zwyciężonego i opuścił plac boju. Z człowiekiem jednak szpaki się liczą i atakować go nigdy się nie ośmielają.

W odmienny sposób bronią gniazda sikory: bogatka (Parus major) i modra (Parus caeruleus), gnieżdżące się w dziuplach drzew, lub w skrzynkach dla ptaków. Sikory te, niepokojone w swej siedzibie, wydają ostre, syczące parskanie, przypominające głos rozzłoszczonego kota domowego. Gdy się wsuwa rękę w dziuplę i nagle coś tam na dnie zasyczy donośnie — każdy mimowoli drgnie i cofnie odruchowo pogrążoną w otworze dłoń, a nieświadomi uciekają od takiego drzewa, sądząc, że w dziupli kryje się wąż. Jeżeli będziemy jakimś patykiem straszyli w dalszym ciągu wysiadującą sikorę — to zacznie ona chrapać coraz gwałtowniej i skakać aż do otworu dziupli, by dosięgnąć dziobem niewidzialnego wroga, a gniazda nie opuści. Szczególniejszem męstwem odznacza się sikora modra, która napastnikowi stawia bardzo silny opór. Nie należy oczywiście drażnić bez potrzeby tych ptaków i skoro posłyszymy w dziupli charakterystyczne prychnięcie — trzeba zaniechać dalszego do niej zaglądania, gdyż mamy już pewność, że natrafiliśmy na wysiadującą sikorę. Nawet kraska (Coracias garrula) broni często rozpaczliwie swego gniazda, zwłaszcza gdy zaskoczymy ją wewnątrz dziupli. Ptak ten, uciekający zazwyczaj w razie niebezpieczeństwa — w tym wypadku szarpie wroga szponami i rwie dziobem, za nic w świecie nie opuszczając swej siedziby, w której czuje się najzupełniej bezpieczny. Pewnego razu, gdy zamierzałem zaobrączkować pisklęta kraski, musiałem stoczyć z samicą formalną walkę, gdyż ptak nie pozwalał mi włożyć ręki do gniazda, na którem akurat siedział.

Taką samą przeprawę miałem z puszczykiem (Strix aluco), który niemniej dzielnie bronił swej dziupli i darł mi szponami rękę, gdy chciałem go nazewnątrz wydostać. Wogóle sowy odznaczają się przy gnieździe dużą walecznością, dlatego też, zaglądając do dziupli, zamieszkanych przez nie — trzeba zawsze zachować pewne środki ostrożności, inaczej można być boleśnie *) pokaleczonym.

Nie będę nużył czytelnika wymienianiem wszystkich gatunków ptaków, stających w obronie gniazda, gdyż wykaz taki byłby bardzo długi. Chcę natomiast zwrócić uwagę na jeden znamienny fakt, a mianowicie na to, że największem męstwem odznaczają się małe ptaszki, podczas gdy duże i silne nie stawiają zwykle większego oporu przy zaglądaniu do ich gniazda. Taki np. zaganiacz, znacznie mniejszy od wróbla, ośmiela się bić skrzydłami po twarzy nawet człowieka, gdy tymczasem ogromny żóraw (Grus grus) uchodzi chyłkiem na nogach od jaj czy piskląt i krąży tylko zdala, narzekając piskliwym głosem na niepokojącego go natręta. Nigdy też nie spotkałem się z atakiem bocianów białych (Ciconia ciconia), ani hajstry (Ciconia nigra), jak również z obroną gniazda przez ptaki drapieżne. O ile chodzi o mniejszych napastników, to naturalnie wszystkie te ptaki potrafią odważnie wystąpić do walki — człowieka jednak nie ośmielają się zaczepiać.

Jedynie orlik (Aquila pomarina) stanowi wyjątek. Kiedy pewnego razu, zabrawszy jaja, złaziłem

*) I niebezpiecznie (zakażenie) ze względu na pazury, zanieczyszczone resztkami zepsutego mięsa. (Przyp. red.).

z olbrzymiej sosny, wróciły do gniazda oba ptaki i odrazu uderzyły na mnie z niebywałą zaciętością. Drzewo w przeważnej części pnia nie posiadało całkowicie gałęzi — toteż musiałem się zachowywać bardzo ostrożnie, a tymczasem orliki podlatywały ku samej twarzy, grożąc mi szponami i bezustannie krzycząc, to znowu usiłując dosięgnąć mnie uderzeniami potężnych skrzydeł. Atak taki trwał aż do chwili, kiedy stanąłem na ziemi; wówczas oba ptaki pośpiesznie wzniosły się w powietrze i umknęły w dal. Sądząc z tego przykładu, przypuszczam, że i inne orły podobnie się zachowują. Natomiast jastrzębie, kanie i sokoły zawsze uciekały i tylko głosem okazywały swój niepokój, ilekroć właziłem na drzewo z ich gniazdem.

Męstwo ptaków, rzucających się odważnie na zbliżającego się wroga, o ile chodzi o małe drapieżniki— stanowi świetny sposób obrony gniazda. Kwiczoł np. daje sobie doskonale radę z takimi nieprzyjaciółmi, jak wrona, sroka, sójka, czy wiewiórka; bocian walczy skutecznie już z kotem, kuną, lub tchórzem, a orły potrafią odpędzić nawet pastuszka. Dlatego też bardzo wiele gatunków ptaków i to zarówno śpiewających, jak i innych, w taki właśnie sposób chroni swe potomstwo przed niebezpieczeństwem. Czynią to przedewszystkiem ptaki, wijące gniazda w niskich krzewach, dziuplach, lub na drzewach, a więc posiadające lęgi częściowo zabezpieczone. Drapieżnik czworonożny, wspinający się po wierzchołku pnia, czy po giętkiej gałązce, nie może sobie pozwolić na skuteczną obronę przed atakującymi go pierzastymi rodzicami i prędzej czy później zmuszony jest cofnąć się, zaś napastnik skrzydlaty już zdala jest widoczny i pozwala na zaskoczenie siebie na znacznej od gniazda odległości, dzięki czemu nie potrafi



Rezultat jednego poranka, osiągnięty przez P. Gen. Cz. Jaruszkiewicza w Pieskach Hr. Pusłowskich. Stoi Hr. Franciszkowa Pusłowska.

zazwyczaj dostrzedz ptasiej kolebki i porwać piskląt, czy wypić jaja. Tylko w tym wypadku, gdy znajdzie gniazdo podczas nieobecności przy niem rodziców — może wyrządzić szkodę, w każdym innym razie stare ptaki utrudniają lub nawet wręcz uniemożliwiają mu splondrowanie gniazda.

(D. c. n.).

LEOPOLD PAC-POMARNACKI

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO.

WALNE ZGROMADZENIA ORGANÓW POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO.

WOJEWÓDZTWO POZNAŃSKIE.

Wojewódzka Rada Łowiecka P. Z. Ł. w Poznaniu, podaje do wiadomości, że w poniedziałek dnia 28 czerwca 1937 r. o godz. 10,30 odbędzie się w lokalu Związku Oficerów Rezerwy (Poznań, Stary Rynek 80—2), Walne Zgromadzenie Wojewódzkie P. Z. Ł. z następującym porządkiem dziennym:

1. Zagajenie.
2. Wybór 2 sekretarzy i 4 asesorów do Prezydjum.
3. Sprawozdanie Sekretarjatu dotychczasowego Zarządu Oddziału Związku z czynności związanych z reorganizacją Związku i czynności dokonanych w terenie.
4. Wybory:
   a) Prezesa Oddziału P. Z. Ł. w Poznaniu (Łowczego Wojewódzkiego),
   b) 2 Wice-Prezesów,
   c) 10 członków Wojewódzkiej Rady Łowieckiej,
   d) 3 członków Komisji Rewizyjnej i 2 zastępców,
   e) Delegatów na Walne Zgromadzenie Związku w Warszawie.
5. Zatwierdzenie projektu budżetu Woj. Rady Łow. na rok 1937.
6. Rozpatrzenie ewentl. wniosków, zgłoszonych przez Pow. Rady Łow. w myśl § 42 statutu P. Z. Ł.
7. Wolne głosy.
8. Zamknięcie obrad.

ZARZĄD TYMCZASOWEJ WOJEWÓDZKIEJ RADY ŁOWIECKIEJ P. Z. Ł.

WOJEWÓDZTWO POMORSKIE.

Niniejszem podaję do wiadomości, że na podstawie § 38 statutu Polskiego Związku Łowieckiego, oraz na mocy polecenia Wydziału Wykonawczego Polskiego Związku Łowieckiego zwołuję do Torunia na dzień 15 lipca 1937 r. (czwartek) na godz. 11 do lokalu „Dworu Artusa" (Rynek Staromiejski) pierwsze organizacyjne Walne Zgromadzenie (Oddziałowe) Polskiego Związku Łowieckiego.

W myśl § 38 statutu Polskiego Związku Łowieckiego Walne Zgromadzenie będzie prawomocne w pierwszym terminie bez względu na liczbę obecnych.

W myśl § 42 mogą być rozpatrywane na Walnem Zgromadzeniu tylko te wolne wnioski, które na dwa tygodnie przed Zgromadzeniem zostały zgłoszone.

Porządek dzienny:

1) Zagajenie;
2) wybór dwóch sekretarzy i czterech asesorów do Prezydjum;
3) sprawozdanie Zarządu z czynności dokonanych w okresie organizacyjnym;
4) wybory:
   a) Prezesa Oddziału (Łowczego Wojewódzkiego Polskiego Związku Łowieckiego),
   b) 2-ch Wiceprezesów,
   c) 10-ciu członków Wojewódzkiej Rady Łowieckiej,
   d) 3-ch członków i 2-ch zastępców Komisji Rewizyjnej,
   e) delegatów na Walne Zgromadzenie Związku.
5) przyjęcie projektu normalnego budżetu Wojewódzkiej (Oddziałowej) Rady Łowieckiej;
6) wolne wnioski zgłoszone w trybie § 42 statutu.

Za Zarząd:

TOMASZ KOMIEROWSKI
Prezes.

INŻ. MICHAŁ BERNAKIEWICZ
Sekretarz.

POWIAT BIAŁA PODLASKA WOJ. LUBELSKIEGO

Na podstawie § 50 statutu P. Z. Ł. zwołuję Walne Zgromadzenie Powiatowe na dzień 20-ego czerwca r. b. na godzinę 14-ą w lokalu Starostwa w Białej Podlaskiej, które będzie prawomocne bez względu na liczbę obecnych.

Porządek dzienny:

1) Zagajenie.
2) Wybór sekretarza i dwóch asesorów.
3) Wybór członków Powiatowej Rady Łowieckiej
4) Wybór delegatów na Walne Zgromadzenie Wojewódzkie.
5) Wolne wnioski.

Konstantynów, 30.V.1937

TADEUSZ PLATER ZYBERK
Łowczy powiatowy P. Z. Ł.

POWIAT ŁUNINIEC WOJ. POLESKIEGO.

W dn. 19 czerwca 1937 r. w lokalu „Rodziny Urzędniczej" w Łunińcu o godz. 16 odbędzie się Walne Zebranie Członków Polskiego Związku Łowieckiego powiatu Łuniniec z następującym porządkiem dziennym:

1. Wybór sekretarza i 2-ch asesorów do Prezydjum.
2. Wybór członków do Powiatowej Rady Łowieckiej.
3. Wybór delegatów na Walne Zgromadzenie Wojewódzkie.
4. Wolne wnioski.

STANISŁAW ZAREMBA
Łowczy Powiatowy P. Z. Ł.

POWIAT OLKUSZ WOJ. KIELECKIEGO.

Na mocy § 50 statutu P. Z. Ł. oraz zgodnie z upoważnieniem Rady Wojewódzkiej Łowieckiej w Kielcach zwołałem do Olkusza na dzień 1 czerwca 1937 r. na godzinę 12 w południe organizacyjne Walne Zebranie Powiatowej Rady Łowieckiej na powiat olkuski, które odbyło się w sali posiedzeń Wydziału Powiatowego (przy ul. Sławkowskiej, dom gen. Buchowieckiej) z następującym porządkiem dziennym:

1) Zagajenie, wybór sekretarza oraz 2 asesorów do Prezydjum.
2) Wybory Rady Powiatowej.
3) Wybory delegatów na Walne Zebranie Wojewódzkie (§ 53 i 39).
4) Najpilniejsze sprawy bieżące.
5) Międzynarodowa Wystawa Łowiecka w Berlinie.

Olkusz, dnia 21 maja 1937 r.

ST. CHODOROWSKI
Łowczy Powiatowy P. Z. Ł.

POWIAT STOLIN WOJ. NOWOGRÓDZKIEGO

Dnia 20 czerwca b. r. o godz. 13 odbędzie się w sali Wydziału Powiatowego w Stolinie Walne Zgromadzenie Powiatowe członków Polskiego Związku Łowieckiego powiatu Stolińskiego, o czem zawiadamiam w myśl § 50 statutu P. Z. Ł.

JERZY SĘKOWSKI
Łowczy Powiatowy P. Z. Ł.

MIANOWANIE ŁOWCZYCH I PODŁOWCZYCH POWIATOWYCH W WOJEWÓDZTWIE KIELECKIEM.

Kielecka Wojewódzka Rada Łowiecka mianowała następujących Łowczych i Podłowczych na podstawie § 70 statutu.

Powiat Będzin i m. Sosnowiec.

Łowczy: Rudowski Leon — Sosnowiec.
Podłowczy: Zieleniewski Jan — Sosnowiec, Rudna 6

Powiat Iłża.

Łowczy: Wyporek Antoni — Wierzbnik, Marcule.
Podłowczowie: Leśniak Zdzisław — Wierzbnik, Marcule.
Zieleniewski Stanisław — Starachowice.
Żróbek Wacław — Bałtów.

Powiat Jędrzejów

Łowczy: Janiec Ignacy — Jędrzejów, Nadleśn. Państwowe.
Podłowczowie: Medoń Władysław — Nadleśnictwo Wodzisław.
Różycki Jerzy — Jędrzejów, Opatowiec.
Wiltowski Stefan — Sędziszów k/Jędrzejowa, Nadleśn. Krzelów.

Powiat i m. Kielce.

Łowczy: Bodakiewicz Tadeusz — Kielce, św. Leonarda 8.
Podłowczowie: Dłużewski Władysław — Kielce, Chęcińska, dom własny.
Jankowski Bronisław — Kielce, Nadleśnictwo.
Karnauchow Walerjan — Kielce, Warszawska 20.

Powiat Końskie.

Łowczy: Jakubowski Bolesław — Fałków, Podzamcze.
Podłowczowie: Karpiński Kazimierz — Administracja Dóbr Końskie.
Szybalski Zygmunt — Administracja Dóbr Końskie.

Powiat Miechów.

Łowczy: Grodzicki Jerzy — Miechów — Charsznica, Pogwizdów.
Podłowczowie: Lewartowski Andrzej — Racławice, Dziemierzyce.
Zdziechowski Janusz — Książ Wielki, Rzędowice.

Powiat Olkusz

Łowczy: Chodorowski Stanisław — Olkusz.
Podłowczowie: Siemiątkowski Julian — Wolbrom, Poręba.
Wyganowski Józef — Olkusz.

Powiat Opatów.

Łowczy: Rudzki Henryk — Bogorja, Gorzków.
Podłowczowie: Byczkowski Tadeusz — Opatów.
Krakowski Marjan — Ćmielów, Wojnowice.
Makarewicz Stanisław — Ostrowiec.
Sawicki Aleksander — Opatów, Bogusławice.

Powiat i m. Radom.

Łowczy: Dzierżyński Tadeusz Mjr. — Radom, Dowkonta 2.
Podłowczowie: Boniecki Michał — Potworów.
Frankiewicz Edward — Radom, Żeromskiego 53.
Kaliszczak Jerzy — Radom, Słowackiego 11.
Kreczmer Stanisław — Przytyk, Konary.
Przyłęski Tadeusz — Radom, Żeromskiego 20.
Tarnowski Włodzimierz — Radzanów, Las-Prawdzic.
Urbanowski Witold — Radom, Żeromskiego 48.

Powiat Sandomierz.

Łowczy: Karski Andrzej — Klimontów, Górki.

Powiat Włoszczowa.

Łowczy: Konarski Stanisław — Kluczewko.

Powiat Stopnica.

Łowczy: Żelazowski Brunon, Busko—Zdrój.
Podłowczowie: Jurkiewicz Jan — Busko—Zdrój.
Łaszkiewicz Tomasz — Solec—Zdrój.

Powiat Zawiercie

Łowczy: Polaski Kazimierz — Myszków.
Podłowczowie: Karczewski Zygmunt — Zawiercie.
Kleindinst Gustaw — Siewierz, Łysa Góra.
Steinhagen Karol — Myszków.

NARODOWE ZAWODY STRZELECKO-MYŚLIWSKIE

Dnia 2, 3 i 4 lipca 1937 r. na strzelnicy w Szczęśliwicach pod Warszawą odbędą się Narodowe Zawody Strzelecko-Myśliwskie.

W zawodach mają prawo brać udział stowarzyszeni strzelcy-myśliwi z całej Polski.

W programie zawodów przewiduje się strzelanie do 300 rzutków (po 100 rzutków przez 3 dni), strzelanie śrutem do zająca, strzelanie kulą do jelenia i dzika.

Obowiązuje regulamin Komisji Głównej Strzelectwa Myśliwskiego. Zapisy do 30 czerwca r. b. przyjmuje kancelarja K. G. S. M. W-wa, N. Świat 35 m. 17.

ODEZWA

W maju r. ub. rozpoczęto na forcie Szczęśliwickim pod Warszawą budowę strzelnicy do rzutków.

Budowę rozpoczęła Komisja Główna Strzelectwa Myśliwskiego przy Polskim Związku Łowieckim.

Po wielu latach zaczęto realizować myśl, która kiełkowała w Kółkach Myśliwskich i Towarzystwach Łowieckich.

Należało skończyć z wszelkiemi prowizorycznemi standami, które nie dawały żadnego sprawdzianu klasy naszych zawodników. A przecież dłużej już niepodobna było ukrywać się i nie brać udziału na zaproszenia Międzynarodowego Związku, który urządza rokrocznie zawody w strzelaniu do rzutków.

Udział w tych zawodach jednego lub dwóch naszych zawodników obok dobranych drużyn innych państw nie odzwierciadlał poziomu strzelectwa myśliwskiego w Polsce.

Dzięki pomocy M. S. Wojsk., 2 fabryk amunicji myśliwskiej w kraju oraz szczupłego grona sympatyków strzelectwa myśliwskiego — zbudowaliśmy według wzorów międzynarodowych strzelnicę do rzutków, która jest najbardziej nowoczesną strzelnicą środkowej Europy.

Obok strzelnicy pobudowano odpowiedni pawilon, który wymaga jeszcze wykończenia.

Podając poniżej pierwszą listę ofiarodawców na budowę strzelnicy do rzutków w Szczęśliwicach, Komisja apeluje do wszytkich myśliwych, którym nie jest obojętny sport strzelecko-myśliwski, o dalsze ofiary, gdyż tylko wspólnym wysiłkiem będziemy mogli dokonać rozpoczętego dzieła, pozostawiając stolicy Państwa jeszcze jeden dowód żywotności ruchu strzeleckiego.

Wszelkie ofiary należy wpłacać do P. K. O. na conto 8082 z zaznaczeniem celu przeznaczonej ofiary.

Strzelnica, na której, jak w roku ubiegłym, odbędą się za kilka tygodni Narodowe Zawody Strzelecko-Myśliwskie — otwarta jest codziennie, nie wyłączając świąt, od rana do zmroku i dostępną jest dla wszystkich członków Polskiego Związku Łowieckiego.

Komisja Główna
Strzelectwa Myśliwskiego P. Z. Ł.

LISTA NR 1

instytucyj i osób, które ofiarami pieniężnemi przyczyniły się do zebrania pierwszych środków na budowę strzelnicy myśliwskiej na forcie Szczęśliwickim.

Ministerstwo Spraw Wojskowych — subsydjum	zł. 9.000.—
Zakłady Amunicyjne „Pocisk"	„ 5.000.—
Państwowa Wytwórnia Prochu, Pionki	„ 5.250.—
N. N. za pośrednictwem p. Rosenwertha	„ 1.000.—
Inż. J. Srzednicki	„ 250.—
Prez. J. Regulski	„ 250.—
Prez. H. Steinhagen	„ 250.—
Dyr. M. Hofman	„ 250.—
Prez. K. Skarzyński	„ 250.—
Dyr. T. Marchlewski	„ 50.—
Dyr. L. Kozłowski	„ 250.—
Dyr. E. Trepka	„ 250.—
Tow. Ubezpieczeń „Patria"	„ 200.—

Pozatem Bractwo Strzelców Kurkowych w Warszawie dało bezpłatnie potrzebny do budowy gruz, zaś p. B. Gędziorowski siatkę z drutu na ogrodzenie.

Ś. P.

ALBERT z Bużenina MNISZEK

Wiceprezes Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Redaktor «Łowca»

zmarł po dłuższych cierpieniach dnia 2 czerwca 1937 r. w 70-ym roku życia



Foto-Prasa.

Z BRACTWA STRZELCÓW KURKOWYCH.

Dnia 16 i 17 maja r. b. na Strzelnicy Bractwa Strzelców Kurkowych, na Reducie Szczęśliwickiej, odbyło się uroczyste otwarcie sezonu strzeleckiego, połączone z tradycyjnym ceremonjałem abdykacji dotychczasowego Króla Kurkowego na rok 1936, oraz strzelania o godność Króla Kurkowego na rok 1937.

Zebrani Bracia, na czele z Prezesem gen. J. Wróblewskim, udali się do „sali rycerskiej", gdzie oczekiwał już ustępujący Król Kurkowy, p. Tadeusz Koszutski, wraz z Rycerzami. Po wręczeniu przez Prezesa pamiątkowej odznaki królewskiej abdykującemu oraz po zawieszeniu na ścianie sali pamiątkowego portretu Króla i Rycerzy, wszyscy udali się na strzelnicę, gdzie Prezes Bractwa w serdecznych słowach powitał gości i zebranych Braci.

Następnie zabrał głos dotychczas „panujący" Król Kurkowy, p. Tadeusz Koszutski, oświadczając, że po okresie dwuletniego panowania, jakie mu przypadło w udziale, składa swą godność oraz insygnja królewskie na ręce Prezesa Bractwa Strzelców Kurkowych. Brat Prezes zkolei ogłosił bezkrólewie, nawołując Braci do jak najliczniejszego przystąpienia do strzelania o godność królewską.

Następnie zebrani przedstawiciele organizacyj oraz goście, z byłym Królem Kurkowym na czele, oddali do tarczy, wyobrażającej kura, strzały honorowe.

Bezpośrednio potem, w kolejności przeprowadzonego losowania, przystąpiono do strzelania o godność Króla Kurkowego na rok 1937.

W pierwszym dniu odbyły się dwie konkurencje: strzelanie z tradycyjnego Aydta, następnie z karabinu wojskowego. Największą ilość punktów zdobyli Bracia: Regulski, Nowak i gen. Wróblewski.

W drugim dniu przystąpiono do ostatniej konkurencji: strzelania do dzika, które zdecydowało komu przypadnie godność Króla Kurkowego.

Pierwsze miejsce, a tem samem godność Króla Kurkowego na rok 1937 zdobył Brat Maciej Nowak.

I. Rycerzem został Brat Arthur Auterhoff,
II. „ „ „ Apolinary Regulski,
III. „ „ „ Jan Wróblewski,

I. Oficerem został Brat Jerzy Ostrowski,
II. „ „ „ Tadeusz Koszutski.

W pierwszym dniu strzelania, po zakończeniu konkurencji, odbyła się w sali rycerskiej Bractwa wspólna biesiada władz Bractwa, Braci zawodników i zaproszonych gości z pośród przedstawicieli organizacyj, prasy i in. Podczas biesiady wygłoszono szereg okolicznościowych przemówień, podkreślających ideologję i zadania Bractwa. Przy pięknej, ciepłej pogodzie zebranie towarzyskie zgromadzonych przeciągnęło się do zmroku w sympatycznym, przyjaznym nastroju.

Uroczystość „intronizacji" i obwołania Króla Kurkowego została odłożona na termin późniejszy.

Omawiając powyższe zawody, należy zwrócić uwagę na dobór konkurencji, który w wyraźny sposób ilustruje ducha i ideologję Bractwa.

1 konkurencja Aydta, to strzelanie ze starej broni tyrolskiej, które jest wybitnie trudne. Wprowadziło ją Bractwo celem utrzymania dawnej tradycji.

2 konkurencja w strzelaniu z karabinu wojskowego cechuje łączność Bractwa z przysposobieniem wojskowem. Każdy Brat winien być dobrym żołnierzem.

3 konkurencja, to strzelanie z broni myśliwskiej dla podkreślenia ideowego pierwiastka myśliwskiego, jaki Bractwo ożywia i przywiązania Braci do łowiectwa, z którem są ściśle związani.

Wł. Z.



W OBRONIE PRACY PROF. WŁ. GÜRTLERA.

Na wstępie zastrzedz się muszę, że nie chciałbym Prof. Wł. Gürtlerowi wyświadczyć „niedźwiedziej" przysługi, zwłaszcza w mniemaniu myśliwych - bibljofilów, naukowców, gdyż sam nie zaliczam się do tej elity, nie z braku zamiłowania, lecz z braku środków i.. czasu. Nie myślę jednak, żeby ktoś mógł tak sądzić.

Obrona nasuwa mi się z powodu zbyt surowej, mojem zdaniem, krytyki artykułu Wł. Gürtlera, p. t. „Łowiectwo w Italji w dobie Odrodzenia", drukowanego w Nr. 6 „Łowca Polskiego" z r. b., którą wypowiada Prof. dr. Witold Ziembicki na łamach „Łowca" (lwowskiego) Nr. 5 z dn. 1 maja r. b. str. 83.

Dlaczego zbyt surowej — zdziwi się może Prof. Ziembicki. Przedewszystkiem dlatego, że każdy prawdziwie inteligentny myśliwy, który nietylko z własnej „fachowej" wiedzy coś wie, o czemś sobie wyrobił zdanie i czegoś się nauczył, czytając pracę Wł. Gürtlera, zdał sobie odrazu sprawę, że artykuł, o którym mowa, nie jest pracą „ściśle naukową", ani jej autor nie rości sobie w tym kierunku żadnych pretensyj, lecz że poprostu pokusił się o możliwie treściwe i barwne, dobrym stylem wypowiedziane spopularyzowanie wiadomości z epoki Odrodzenia, jakie we włoskich stosunkach dotyczą historycznego rozwoju myślistwa w Europie, która z tej właśnie epoki czerpała z Włoch pełnemi garściami w każdej dziedzinie życia: nauki, sztuki, zawodów, fachów i t. d.

Jeśli chodzi o „montowanie" podobnej pracy, oczywiście każdy to doskonale rozumie, że autor nie może niczego „wyssać sobie z palca", co dotyczy współczesnych danej epoce wiadomości (jak i Chłędowski tego uczynić nie mógł) i że musi opierać się na źródłach.

Są jednak poczesne momenty czystego, osobistego autorstwa takiego montażu i te w pracy Wł. Gürtlera są bardzo szeroko zachowane i widoczne.

Przedewszystkiem do Gürtlera należy wstęp i zakończenie w całości, z wyrażonemi w nich poglądami, usprawiedliwiającemi dostatecznie pobudki, dla których zadał sobie trud podania tej pracy szerszemu kołu myśliwych polskich.

Następnie cytaty z Chłędowskiego i inne wcale nie są powtarzane dosłownie, lecz autor korzysta z nich o tyle — i w zmienionej przez siebie formie — o ile uważa to za konieczne dla przeprowadzenia całości obrazu historycznego przed czytelnikiem.

Wreszcie praca Gürtlera oparta jest nietylko na Chłędowskim, jakby to wyglądało z recenzji Prof. Ziembickiego, lecz także na Morawskim, na Burckhardtzie, a niewątpliwie także na różnych encyklopedjach i innych źródłach, które mogły stać przed nim w tym okresie otworem, bowiem Gürtler w podobnych razach umie się zdobyć na największy trud, t. j. na trud szperania w dziełach mu dostępnych, a rozszerzających widnokrąg na opracowywany temat.

Może uniknąłby Gürtler tak surowej krytyki w „Łowcu", gdyby był — miast powołać się czterokrotnie na źródła, z których czerpał najbardziej — podał w zakończeniu artykułu: „Czerpałem z następujących dzieł...."

Pozostaje zatem jeden błąd Gürtlera, powtórzony za Chłędowskim, za który Prof. Ziembicki czyni odpowiedzialnym autora. Dotyczy on „nieistnienia cennej książki Dantesa i zaglądania do niej przez Borsa, który nie znał łaciny."

Co do pierwszej części zarzutu — autorstwa „książki" i wogóle jej istnienia — Gürtler stoi przed sądem historyków - bibjofilów do spółki z Chłędowskim i sądzę, że mu to ujmy nie przynosi, jeśli się zważy ilekroć już bibjofilstwo i badanie skrzętne coraz nowych, niespodziewanie nieraz odkopywanych, źródeł z jakiejś dziedziny doprowadzało do poprawiania wiadomości i poglądów historycznych, zawartych w dziełach, do owej chwili uznawanych, przez naukowców nawet, za nieomylne.

A to że Gürtler od siebie postawił prosty i logiczny wniosek, iż skoro Borso rozporządzał „książką" Dantesa „De natura falconum et de remediis avium", będąc pasjonowanym myśliwym, zwłaszcza z sokołami, musiał do tego dzieła często zaglądać — wybaczy mi Prof. Ziembicki — nie jest żadnem przestępstwem autora, gdyż, nie znając łaciny, mógł się Borso posługiwać czyjąśkolwiek w tym kierunku umiejętnością ze swego otoczenia, aby praktycznie wiadomości tam zawarte zużytkowywać (z rękopisu traktatu o „przyrodzie sokołów i ich leczeniu" Danchusa czy też Dancusa).

W każdym razie, czy tak było, czy inaczej — Prof. Ziembicki wyjaśnił nam to teraz dokładnie dzięki swej wielkiej wiedzy i zamiłowaniu do bibljofilstwa, dotyczącego historji łowiectwa — nie wpływa to bynajmniej na zasadniczą wartość pracy Prof. Gürtlera, jako popularyzującej główne cechy epoki Odrodzenia we Włoszech w dziedzinie myślistwa.

WŁ. Z.

Z SETTER KLUBU W POLSCE.

Wiadomości hodowlane.

Zarząd Klubu zawiadamia, że z tegorocznych miotów są do nabycia szczenięta w następujących hodowlach rasowych seterów angielskich, zarejestrowanych w klubie.

1. 6 szczeniąt blue-beltonów, ur. 15.IV.37 r. Ojciec — „Beskid Sir Garth" Nr. 73 — IV nagroda kl. otw. na wystawie 1936 r. Matka — „Saba z nad Prosny" (Boby Nr. 31 — Surprise Hora Nr. 63). Hodowca — por. Stanisław Kopiec — Grudziądz, Sobieskiego 16 m. 7.

2. 4 pieski blue-beltony, ur. 11.III.37. Ojciec — „Surprise Haro" Nr. 34, syn „Lingfield Vigil" — II nagroda kl. otw na wystawie 1937 r. Matka — „Surprise Jota" Nr. 57, córka „Grigg of Otham" — Derby 1936 r. — II nagroda, wystawa 1936 r — II nagroda. Hodowca — mjr. Jerzy Kobylański, Warszawa, Okęcie. Cywilny Port Lotniczy

3. 6 szczeniąt, ur. 12.V.37 r. Ojciec — „Bronir Imć Manru" Nr. 50 — field-trialsy 1937 r. — zaśw. polowe, wystawa 1937 r. — I nagroda i Certyfikat na Championat. Matka — „Surprise Hora" Nr. 63, córka „Lingfield Vigil". Hodowca -- ks. A. Kiszkurno — Szymanowice n/Prosną.

4. 2 pieski blue i lemon-beltony, ur. 25.II.37 hodowli „Surprise". Ojciec — „Surprise Jocker" Nr. 59, derbista 1936 r., na field-trialsach 1937 r — III nagroda. Matka — „Surprise Rouge" Nr. 3, reproduktorka hodowli, która dała szereg wybitnych psów na wystawach i field-trialsach. Hodowca B. Przychodźko — Warszawa, Nowy Świat, 35 — Zarząd Klubu.

PRZEZ MIKROFON.

Rozgłośnia warszawska Polskiego Radja nadaje w dniu 17 b. m. od godz. 19.30 do 19.40 pogadankę p. Jerzego Dylewskiego p. t. „Łowiectwo polskie na międzynarodowej wystawie w Berlinie".

Treść pogadanki związana jest z akcją przygotowawczą specjalnego Komitetu Organizacyjnego, zajętego urządzaniem polskiego działu na Międz. Wyst. Łowieckiej w Berlinie.

SPROSTOWANIE.

W Nr. 14 „Łowca Polskiego" z dn. 10 maja r. b., w artykule Prof. Dr. A. Sołowija p. t. „Uwagi w sprawie oceny trofeów łowieckich i projekt zmiany zasad oceny", na str. 272, w rozdziale „Ocena rożków sarnich" opuszczone zostały trzy ostatnie wiersze tekstu, które już po złamaniu numeru wypadły ze składu.

Opuszczenie brzmi w całości, jak następuje:

Do uzyskania medalu złotego kwalifikuje ponad 450 pkt.
Do uzyskania medalu srebrnego kwalifikuje ponad 440 pkt.
Do uzyskania medalu bronzowego kwalifikuje ponad 430 pkt.
co niniejszym prostując, uzupełniamy.

REDAKCJA.

WALNE ZEBRANIE WIELKOPOLSKIEGO ZWIĄZKU MYŚLIWYCH.

Niniejszym podajemy do wiadomości wszystkich członków Wielkopolskiego Związku Myśliwych, że w poniedziałek dnia 28 czerwca 1937 r. o godzinie 15-tej, odbędzie się w lokalu Związku Oficerów Rezerwy (Poznań, Stary Rynek 80—2) Walne Zebranie Wielkopolskiego Związku Myśliwych z udziałem wszystkich członków W. Z. M., z następującym porządkiem obrad:

1. Zagajenie.
2. Odczytanie protokółu z ostatniego Walnego Zebrania.
3. Uroczyste rozdanie odznaczeń i dyplomów, nadanych przez Polski Związek Łowiecki funkcjonarjuszom leśnym i policji państwowej za wybitną walkę z kłusownictwem i wnykarstwem.
4. Uroczyste rozdanie odznaczeń i dyplomów, nadanych przez Wielkopolski Związek Myśliwych za zasługi łowieckie i hodowlę.
5. Sprawozdanie ustępującego Zarządu z działalności Związku za rok 1936: a) Prezesa, b) Skarbnika, c) Komisji Rewizyjnej.
6. Dyskusja nad sprawozdaniami.
7. Uchwalenie absolutorjum ustępującemu Zarządowi.
8. Wybory nowych Władz Związku na okres trzech lat: a) Prezesa, b) 2 Wice-Prezesów, c) 10 członków Zarządu, d) 3 członków Komisji Rewizyjnej i 2 zastępców.
9. Wolne głosy i wnioski.
10. Zamknięcie obrad.

Zarząd Wielkopolskiego Związku Myśliwych.

ROZMAITOŚCI

ŁOSIE W BIAŁOWIEŻY.

(zet) Dowiadujemy się, że istniejącym od pewnego czasu zamierzeniom decydujących czynników w dziedzinie gospodarki łowieckiej na terenach reprezentacyjnych Puszczy Białowieskiej — restytuowania łosi w odpowiednich warunkami częściach tych lasów — przyszedł z pomocą właściciel największego skupienia łosi w Polsce, Karol ks. Radziwiłł, Ordynat Dawidgródecki.

Niedawno nadeszły do Białowieży łosie-sysaki — jeden byczek i dwie łoszki, ofiarowane w celach hodowlanych przez Księcia Ordynata, które odbyły tę wyjątkową w ich życiu podróż koleją, zamknięte i zabezpieczone od ewentualnych urazów w odpowiednio urządzonych klatkach (wyłożonych słomą i obitych od wewnątrz płótnem). Po dotarciu do krańcowej stacji kolejowej, łoszaki odbyły dalszą podróż samochodami na miejsce przeznaczenia, do specjalnie przygotowanej zagrody-wybiegu i jak dotychczas czują się zupełnie dobrze.

Książe Radziwiłł, jak słyszymy, zamierza przez dalsze dwa lata okazać pomoc w rozhodowaniu łosi w Białowieży przez ofiarowanie identycznych co do ilości i stosunku płci zespołów, jeżeli zatem próba ta okaże się w zupełności ziszczalną w praktyce i nie skomplikują jej żadne nieprzewidziane dziś trudności, to już w 1939 roku, dzięki ofiarności najbardziej zapobiegliwego pioniera sprawy łosiowej w Polsce i hodowcy tych zwierząt, będziemy o tej porze mogli poszczycić się nową ostoją łosiową w Białowieży, liczącą 3 sztuki dwuletnie, 3 — roczne i 3 najmłodsze sysaki z przychówku w Dawidgródczyźnie r. 1939.

Przy sposobności dzielimy się wiadomością, że sygnalizowany w swoim czasie w „Łowcu Polskim" powrót jednego niedźwiedzia do lasów dawidgródeckich, utrwalił się szczęśliwie, gdyż zwierz pozostaje tam aż dotąd, jest więc nadzieja dalszego utrzymania go w tej ostoi.

Także bobry dawidgródeckie w zupełnym spokoju i bezpieczeństwie — dzięki wyjątkowym warunkom terenowym i ochronnym — szczęśliwie rozmnażają się, rozbudowując swe pierwsze chaty, jednak nie powiększając narazie liczby chat w żeremiu.

SPRAWOZDANIE ZE STRZELAŃ KONKURSOWYCH „ŁOWCA WIELKOPOLSKIEGO" W DNIACH 22 I 23 MAJA 1937 R.

Strzelanie kulowe na Warowni VII w Poznaniu.

I. Kozioł stojący na odl. 80 metrów z wolnej ręki — 3 strzały

1). Dr. Stefan Muszyński członek „Łowca Wlkp", 31/36
2). Dr. inż. Jerzy Szuman „ „ „ 31/36
3). Dyr. Stefan Gniatczyński „ „ „ 29/36

II. Dzik biegnący odl. 50 metrów z wolnej ręki — 2 przebiegi po 2 strzały

1). Dr. Jerzy Szuman członek „Łowca Wlkp", 19/30
2). Por. Józef Łuczkowski „ „ „ 18/30
3). Nadl. Tadeusz Metzig „ „ „ 14/30

III. Jeleń biegnący na 100 metrów z wolnej ręki — 2 przebiegi po 3 strzały

1). Mec. Bolesław Paul członek „Łowca Wlkp", 16/30
2). Ryszard Krieger „ „ „ 14/30
3). Dr. Stefan Muszyński „ „ „ 13/30

Konkurencja bardzo silna, udział brało 29 zawodników.

Strzelania śrutowe do rzutków w Sowińcu pod Mosiną.

I. O mistrzostwo „Łowca Wielkopolskiego"

1). Por. Kazimierz Tobola z P. W. P. w Pionkach 29/30
2). Dr. Inż. Jerzy Szuman członek „Łowca Wlkp" 28/30 (który jako członek „Ł. W." zdobył mistrzostwo swego klubu).
3). Tadeusz Obutelewicz z P. W. P. w Pionkach 27/30
4). Włodzimierz Bląk jr. członek „Łowca Wlkp" 25/30
5). Ryszard Krieger „ „ „ 24/30
6). Stefan Rousseau „ „ „ 24/30

II. Propagandowe strzelanie o nagrody Państwowej Wytwórni Prochu w Pionkach

1). poza konkursem Tadeusz Obutelewicz z Pionek 23/25
1). w konkursie Włodzimierz Bląk członek „Ł. W." 23/25
2). „ Inż. Tadeusz Mejer „ „ 23/25
3). poza konk. por. Kazimierz Tobola z Pionek 21/25
3). w konkursie por. Józef Łuczkowski czł. „Ł. W." 21/25
4). „ leśniczy St. Pawlicki 20/25
5). Nadl. Tadeusz Metzig członek „Łowca Wlkp" 20/25
6). pułk. Kostecki „ „ „ 20/25
7). Stefan Gniatczyński „ „ „ 18/25

W konkursie tym P. W. P. w Pionkach dostarczyła biorącym udział zawodnikom nabojów z prochem Sokół, elaborowanych przez Warsz. Sp. Myśl. bezpłatnie. Konkurencja była bardzo silna, udział brało 28 zawodników.

Po ukończeniu zawodów odbyło się uroczyste rozdanie nagród zawodnikom, a następnie wspólna kolacja w majętności Sowiniec i zebranie towarzyskie, które w miłym nastroju przeciągnęło się do późnej nocy.

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. **Wydawca:** Polski Związek Łowiecki.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7,50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. Miesięcznie zł. 2.50. — Numer pojedyńczy 1 zł. Za zmianę adresu — 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem — 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; mniejsze ogłoszenia — 1 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.
Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 3-ą i 4-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Łowieckiego tel. 6-66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 607-98. KONTO P. K. O. 8082

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa